Nr. 11. Rok I.

We Lwowie 9. Grudnia 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3** „ — „ **3** „ **25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.

tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 11. We Lwowie dnia 9. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

OBCHÓD ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ.

Wyjątkowe położenie, w jakiem się znajdujemy, wyrodziło w nas pewną wadę, której na imię: zapalność. Zapalamy się prędko, a częstokroć bez należycie ugruntowanego powodu, szczególnie do wszystkiego, co dotyczy naszej przeszłości. Jeżeli pod jakim. to pod tym względem brak zimnej a bezstronnej krytyki, daje się u nas najbardziej odczuwać. Tłumaczymy to, trudno jednak pochwalić — trudno zgodzić się na nieuzasadnione wybuchy i porywy, którym brak podstaw, trudno przyklasnąć entuzjazmowaniu się do faktów mających ściśle historyczną wartość, ale pozbawionych głębszej idei, pozbawionych nici, wiążących je z teraźniejszością, słowem pozbawionych tego, co przeszłość z teraźniejszością zespala, co nadaje oderwanemu faktowi wartość, niespożytą zębem czasu. Wiemy dobrze na co się narażamy, wiemy, że pobudzimy przeciwko sobie wszystkich, u których uczucie rozum zastępuje, wiemy, że gotowi nam imputować intencje najgorsze... — a jednak nie możemy przenieść na sobie, aby nie przedstawić w świetle właściwem odsieczy Wiednia, dokonanej przez króla Jana III Sobieskiego — faktu dziejowego, który cały kraj ma uroczyście obchodzić. Zasadą naszą jest mówić prawdę, i od tej zasady nie odstąpimy, choćbyśmy byli zupełnie odosobnieni...

Czegoż się wymaga od faktu dziejowego, któremu ma potomność składać hołd wieczysty, który ma uważać niejako na sztandar pod którym gromadzić się należy, za punkt wyjścia działania w teraźniejszości? Bezwarunkowo wymaga się, aby w tym fakcie wcieloną była jakaś wielka niespożyta idea, aby ona była przewodniczką działania społeczeństwa na przyszłość, aby przynajmniej fakt ów był aczkolwiek nieudałym, ale wielkim krokiem na drodze ogólnego rozwoju narodu.

Kim był Sobieski? Czem była odsiecz Wiednia?

Pomimo ogólnych pieśń pochwalnych, przeciw którym nawet skeptyczni uczeni krakowscy głosu nie podnoszą, bo są one im na rękę, Sobieski w świetle historji przedstawia się, jako pierwszorzędny talent wojskowy XVII wieku, jako wódz na owe czasy znakomity, jako dzielny rycerz romantycznego zakroju, ale też i na tem—koniec. Szlachcic polski, starej daty, dostawszy się na tron, zachował wszystkie zalety swej kasty, ale też i wszystkie wady. Obdarzony wielkim militarnym talentem, więcej powiemy geniuszem — odważny jak lew, a zarazem przezorny jak wódz w bojach osiwiały, Sobieski bił się dzielnie, na czele skrzydlatych husarzy dokazywał cudów waleczności, mało jednak zdawał sobie sprawę z tego, do czego jego zapał wojenny doprowadzi... Słowem tęgim był wojakiem, ale ani krzty politykiem. W obec takiego Batorego, który chciał uratować Rzecz pospolitą od anarchji możnowładców, w obec Władysława IV mającego zamiar przeprowadzić ugodę z Kozakami, a w ten sposób zagoić wieczną ranę na ciele ojczyzny, w obec takiego Stanisława Leszczyńskiego, przepełnionego najlepszemi reformatorskiemi zamiarami, jakże maleje owa wielka postać Sobieskiego z mieczem skrwawionym po rękojeść, depcącego po karkach zgromionych Bisurmanów? Dzielność osobista, animusz rycerski, — to cnoty przedstawiające się nader ponętnie w poetycznej perspektywie, ale to nie zasługi, przed któremi potomność bezmyślnie z pochylonem czołem korzyć się powinna...

Przypatrzmy się teraz, jak właściwie przedstawia się odsiecz Wiednia? Nie chcemy mówić w tem miejscu o fakcie samym, nie chcemy się sprzeczać, czy Sobieski czy Lotaryńczyk przyczynił się najwięcej do uwolnienia Wiednia, fakt ten bowiem według nas jest dostatecznie rozświetlony, a tylko szowinistyczne zaślepienie Niemców może po-

dawać w wątpliwość zasługi Sobieskiego pod tym względem — idzie nam o pobudki czynu i o jego rezultaty. Otóż historja poucza nas, że Sobieskiego do wyprawy pod Wiedeń skłonił przedewszystkiem ów animusz rycerski, w połączeniu z pewnymi ubocznymi względami, które przypomnieć należy. Wszystkim wiadomo, jaki wpływ na rycerskiego króla wywierała królowa Marysieńka. Sobieski, kiedy wstępował na tron, był zdecydowanym zwolennikiem polityki francuskiej, a przeciwnikiem Austrji, a był nim dopóty, dopóki Marysieńka nie przechyliła szali na stronę przeciwną. A jakiż był tego powód? Oto Marysieńka, czyli Marja, Kazimiera, Ludwika, margrabianka Langrange d' Arquien obraziła się na Francuzów z przyczyny, że Ludwik XIV. ojcu jej nie chciał oddawać honorów książęcych. Gniew namiętnej kobiety wpłynął na losy Polski, a względnie Europy... Jak zaczęła nastawać na Sobieskiego, aby porzucił politykę francuską, tak i dokazała swego. C h e r c h e z l a f e m m e — daje się w zupełności zastosować do tego wielkiego faktu dziejowego. Przekabacony przez żonę Sobieski, kiedy przyszła chwila, na przekor interesom Francji poszedł pod Wiedeń, i stał się obrońcą Chrześcijaństwa.. Czy zwycięstwo odniesione pod Wiedniem, pod względem politycznym miało dla Polski błogie rezultaty? Trzebaby o tem pisać długo i szeroko... a my tyle tylko dadamy, że było to ostatnie wielkie zwycięstwo polskiego oręża, po którem nastąpiła apatja, ohydna epoka Sasów, a wreszcie upadek Rzeczypospolitej...

Z tego, cośmy powiedzieli, widać, że zapał do obchodzenia uroczystego rocznicy odsieczy Wiednia, jako faktu pierwszorzędnej w naszych dziejach doniosłości, może być bardzo szlachetnym i poszanowania godnym, nie posiada jednak należytych podstaw. Jest on wypływem reakcji, wywołanej przez Niemców, chcących sobie samym przywłaszczyć zasługę uwolnienia Austrji od bisurmańskiego napadu, i tem się też tłumaczy. Czyż jednak szowinizm Niemców, ma koniecznie wywoływać szowinizm polski? Nie.. To też znaczna część naszej inteligencji, jakkolwiek uznaje ważność omawianego przez nas faktu dziejowego, wcale się nim nie entuzjazmuje w ten sposób, jakby to nasi menerzy w ogół wmówić usiłowali, a my pisząc te słowa, jesteśmy wyrazem tych zapatrywań. Niech Wiedeń, jako jedynie interesowany obchodzi rocznicę swego oswobodzenia, Polacy mogą wziąć udział w obchodzie tego historycznego faktu, ale zresztą... nie ma się wcale czego zapalać do faktu, będącego objawem osobistej rycerskości, który dla nas nie jest niczem innem, jak tylko poetycznem wspomnieniem...

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

Działo się w jednem z większych miast Galicji.

Przez spruchniałe ściany przedmiejskiego domku, przez źle opatrzone okienka, niedomykające się drzwi, do niskiej, ciasnej, zatęchłej izdebki przewiewał ostry jesienny wiatr.

Huczał on w kominie — szeleścił zasuwą kuchenki — podzwaniał szybkami okien, a przez zniszczony, wygięty pułap, przeciekały do izby krople deszczu. — Mała, naftowa lampka, stojąca na okapie kuchenki, oświetlała izdebkę mdło, niewyraźnie, że zaledwie można było w półmroku rozróżnić sprzęty, których tu było nie wiele bardzo niewiele.

Cisza panowała w izbie, jakby w niej żywego ducha nie było. Przerywał ją tylko odgłos kropli deszczu, spadających z pułapu na podłogę — w jednostajnych odstępach czasu, z okropną monotonją. A jednak izdebka nie była pusta...

Żyło w niej pięcioro ludzi — spoczywało dwoje umarłych...

Troje dzieci spało na tapczanie pod ścianą. Przytuliły się do siebie, aby im było cieplej, bo nędzna, lekka kołdra, którą były przykryte, nie chroniła ich dostatecznie od zimna. Spały spokojnie, choć o kilka kroków na drugim tapczanie, spoczywały zwłoki ich ojca i najmłodszego brata, resztkami jakiegoś prześcieradła nakryte. Dlaczegoż spać nie miały? Wiek dziecięcy boi się wprawdzie czasem umarłych, ale nędza zawsze się łatwo brata ze śmiercią. Gdy im oznajmiono o śmierci ukochanych, może płakały serdecznie, ale płacz znużył, wysilił je i — zasnęły. Nic dziwnego! Najstarsze miało lat 12, najmłodsze szósty...

Przy zwłokach z głową spartą na rękach, siedziała żona zmarłego, zarazem matka trzechletniego synka. Wzrok jej utkwiony w prześciaradło, zastępujące całun śmiertelny, bezmyślny był — prawie idiotyczny. Gdyby ją nagle zapytano o czem myśli, nie umiałaby powiedzieć...

O wszystkiem i o niczem. Najprawdopodobniej o całem życiu nędzy...

Przed dwudziestu kilku laty — jako córka ubogiego nauczyciela wioskowego, poznała drugą biedę — swojego późniejszego męża. Był urzędniczkiem niskiej rangi przy cyrkule, miał pensyjkę wystarczającą zaledwie na najpierwsze potrzeby kawalerskiego życia — groziło im ubóstwo, ale ona znała je, nie bała się biedy, bo kochała. Kochała go zaś, gdyż był uczciwy, skromny, pracowity, nie pijak, nie karciarz, a dobry Polak... Ten ostatni przymiot przeważył wszystkie inne, i oddała mu rękę...

W roku 1861 — gdy na świat przyszedł synek — pierworodne maleństwo — ochrzczono go Tadeuszem... Nad kolebką zawieszono Tadeuszkowi, zamiast obrazu świętego, wizerunek Kościuszki w siermiędze, z szablą w dłoni. Miał to być jego patron...

W roku 1863, gdy Tadeuszek miał dwa lata, jakiś usłużny kolega ojca zabawił się w „szlachetnego donuncjanta", i doniósł o obrazie Kościuszki — w domu urzędnika! — przełożonej władzy. Ojciec Tadzia, uznany w skutek tego jako „politisch verdächtig" wyleciał z urzędu jak z procy. Z takiemi indywiduami nie wiele ceremonji robiły ówczesne rządy.

Biedni ludziska siedli na lodzie. Oddanym pod nadzór policyjny, trudno było znaleść zajęcie. Czegoż miał się chwycić? Uczciwy był, skromny, pracowity, ale — nie wiele umiał. Znał trochę ustawy — trochę niemczyzny i ładnie pisał. Został pokątnym pisarzem. Ale i tu wkroczyła władza z całą surowością prawa, i zabroniono mu najostrzej „winklerki".

Z czego żyć? A trzeba! Przybywało dzieci. Co rok prorok, a w domu nędza, że siekierą by nie uciął. Ale żyło się jakoś... wegetowało raczej — patrjotę wspierali po trosze patrjoci — i dopchało się biedactwo do r. 1868.

W roku tym odetchnięto swobodniej. Nastały lżejsze czasy; były kancelista otrzymał posadę djurnisty przy starostwie. Płacono mu 20 reńskich miesięcznie. Za dużo by z głodu umrzeć, za mało by żyć! A że musieli żyć — więc pracowali.

Od świtu do nocy skrzypiało w jego rękach gęsie pióro, zapełniały się całe arkusze to urzędową robotą, to przepisywaniem dla prywatnych. Często świt poranka zastawał go pochylonego nad stolikiem, przy łojowej świeczce, z zaczerwienionemi oczyma. Ona, nie tylko oporządzić i nakarmić musiała gromadę dzieci, ale po całych dniach prała i prasowała bieliznę studentów, byle coś grosza do mężowskiego zarobku przysporzyć, na utrzymanie rodziny.

Nie tylko na utrzymanie, ale i wychowanie Nędza ścigała ich ciągle, a zdawało im się, że winien temu brak naukowego wykształcenia u ojca, że gdyby on więcej umiał, nie potrzebowałby tak ciężko pracować. Przynajmiej niechby ich najstarszy syn wyszedł na uczonego człowieka, na jakiego adwokata, doktora, profesora, radcę; przynajmniej on niechby nie znał, co głodu i chłodno. O dej-

mowali więc sobie od ust prawie, zmniejszali porcje innym dzieciom, byle posełać Tadeusza do szkoły, byle go wyrwać z niskiego stanu, w jakim żyć musieli. Żądza wyniesienia tego chłopca do wyższych godności w społeczeństwie, przeszła w nich w obłęd, w manję. O tem mówili tylko ze sobą, to stało im przed oczami we śnie i na jawie. Matka zwłaszcza tylko tą myślą żyła, tylko ta żądza dodawała jej sił do pracy, do znoszenia najstraszniejszej nędzy. Ojciec wzrok tracił na nocnej pisaninie, matka ręce sobie do krwi ścierała piorąc bieliznę, a wszystko, byle Tadzia pchnąć w szkołach, byle go — jak mówili — na człowieka pokierować. A szło to coraz trudniej. Wysilające pisanie po całych dniach i nocach wpłynęło na oczy djurnisty, i ani się spostrzeżono, jak przed jego oczami było coraz ciemniej, coraz bardziej ponuro i smutno, jak jednego poranka, gdy przepięknie schodziło słońce, zapytał żony krzątającej się koło kuchni, dlaczego tak rano wstała — wszakże to jeszcze noc...

Kobieta odwróciła się od komina — spojrzała na męża, i w głos się rozpłakała... Zrozumiała nową nędzę...

Mąż jej — oślepł...

Teraz na jej barki i na barki dorastającego Tadzia spadło utrzymanie rodziny. A była liczna. Do stołu prócz ślepego ojca, spracowanej matki i Tadzia, siadała jeszcze jego rówieśnica siostra. sparaliżowana na nogi, i czworo mniejszego drobiazgu. Miał o czem i o kim myśleć...

Właśnie przed dwoma miesiącami dwudziestoletni chłopak skończył gimnazjum z wyszczególniającym egzaminem dojrzałości, i miał zamiar jechać do stolicy na uniwersytet, na wydział filozoficzny, gdy ojbiec obłożnie zachorował. Wypadało odjazd odłożyć a zająć się rodziną... Choroba ojca pochłonęła wszystkie zapasy, jakie z lekcyj zeszłorocznych potrafił na dalsze swoje wykształcenie zebrać maturzysta... Jeden sprzęt po drugim wędrował w świat, między handlarzy starzyzny, w domu zostały ledwie dwa tapczany, stolik i ława. Tylko sprzętów z izdebki osobnej, gdzie mieszkał Tadeusz, nie pozwalała sprzedać matka; dla niej świętością była własność syna. On — według niej — potrzebował mieć swój kącik, gdzieby się uczył. On, podpora rodziny. Nie mogła mu przecież zapomnieć, że od lat kilku młode chło pię, po skończeniu nauki w szkole, biegało codziennie z jednego końca miasta na drugi, na lekcje licho płatne, byle jej w końcu miesiąca przynieść kilkanaście reńskich. Belferował nieukom, byle kupić chleba ślepemu ojcu, starej matce spracowanej, kalece siostrze, i ukochanemu drobiazgowi.

Gdzie cienko, tam się rwie. Podczas choroby ojca wybuchł w mieście tyfus i ospa. Tadeusz lekcje potracił. Klienci jego dowiedziawszy się, że w domu ma chorego, wymówili mu zajęcie. Nie dali sobie wytłumaczyć, że choroba ślepca nie była tyfusem, ale inną, zapalną słabością. Obawa przemogła rozumowania...

Na domiar złego najmłodsze z rodzeństwa, trzechletni synek zachorował również, zdeklarowała się ospa.

Rozpacz czepiała się głowy Tadeusza. Doktorzy opuścili łoże starca i łóżko dziecka — odwoływali się na cud.

Od dwóch dni nie było czem w piecu zapalić; — dziś rano spożyto ostatnie pół bochenka chleba — a tu wiatr świszczał przeraźliwie — łupotał dzwiami — trząsł domem — w lampce dopalała się nafta, na tapczanie legły rano dwa trupy, które trzeba było pochować...

Nędza, ostateczna nędza...

To pojęcie wyzierało z każdego kąta — siedziało na twarzy kobiety nieruchomie w trupy zapatrzonej — czuć je było w atmosferze izdebki. O niem myśleć także musiała druga niewieścia postać, która w głąb starego, zniszczonego fotelu wciśnięta, siedziała obok pieca kuchennego, jakby sama jego bliskość mogła jej dodać ciepła, którego niebyło w izdebce.

Dziwne, że nędza rodzi często aniołów. Z pięknej choć smutnej i bladej twarzy dziewczęcia wiał jakiś niezwykły urok, jakaś nieokreślona pogoda duszy — że się koniecznie zdawało, jako ona nigdy się nie otarła o brud i nędzę, jakby tej istocie płynęło życie rozkoszą, niezamąconem szczęściem. I w tej chwili, choć cisza zalegająca izdebkę przejmowała dreszczem, choć przed nią leżały dwa trupy, choć widziała matkę nieprzytomną prawie z bolu i rozpaczy, na jej twarzy była pogoda, jakieś dziwne poddanie się losom, połączone z niezachwianą wiarą w przyszłość. Nędza doszła do ostatnich granic, a przecież ona ufała...

Może ufała Tadeuszowi, który wyszedł ugodzić trumny dla umarłych. Wprawdzie wiedziała, że wyszedł bez grosza przy duszy, ale on sobie da radę. Tego chłopca Bóg nie opuści — nie może opuścić... Widziała w nim świat swój cały. I nic dziwnego. Co wiedziała, czego się nauczyła, winna była temu ukochanemu bratu. On każdą wolną chwilę — a miał ich tak mało — poświęcał jej wykształceniu. On, ją kalekę, ukochał jak wybraną duszę — ona jedna rozumiała go zupełnie. W obec myśli o bracie, znikła z przed jej oczu otaczająca nędza, ona tylko nadsłuchuje, czy Tadeusz nie wraca...

Ale nie — cisza — przerażająca cisza — tylko krople deszczu spadają z pułapu na podłogę z okropną jednostajnością...

Po chwili jedno ze śpiących na tapczanie dzieci — najmłodszo — przebudziło się i usiadło.

— Mamo, mnie się tak chce jeść...

Matka ocknęła się z zadumy i powstała.

— Spij, spij Karolku — jeszcze Tadeusz z miasta nie wrócił.

Dziecko zapłakało i rzuciło się powtórnie na tapczan.

Matka stanęła na środku izdebki i słuchała poświstu wiatru.

— Tam taki wicher... Nie pamiętasz Jadziu, wziął też Tadzio paletot zimowy? Żeby się nie przeziębił...

— Wziął mamo — dał się słyszeć melodyjny, choć cichy głos córki. Po chwili dodała: Mamo, mam tu kawałek chleba. Nie mogłam jeść. Daj mama Karolkowi, niech nie płacze..

Matka wzięła kromkę chleba od córki i poniosła dziecku, które chciwie wbiło w nią białe ząbki i płakać przestało. Był to ostatni kawałek chleba w domu.

I znowu cisza, tylko krople deszczu spadały na podłogę.

Nareszcie skrzypnęły dzwi od sionki — ktoś idzie.

— Tadzio! przemówiła kaleka, a matka spojrzała ku drzwiom.

Do izdebki weszło dwóch ludzi.

— Dobry wieczór — przemówił młodszy.

— Niech będzie pochwalony! odezwał się basowy głos starszego.

— Na wieki wieków! odpowiedziała matka. — Jesteś przecie!...

— Musiałem długo czekać na majstra — przemówił syn całując rękę matki — nie było go w domu.

— A potem wstępowaliśmy do piekarza i do składu drzewa — objaśniał basem przysadkowaty mieszczanin. Oto macie tu pani pisarzowa wiązkę buczyny — będzie ciepło jak u pana Boga za piecem... — To mówiąc, wydobył z pod płaszcza drzewo i złożył przed kuchnią.

— Bóg wam zapłać za trud majstruniu..

— Za mało, pani pisarzowa, za mało. Co ci to za trud.. tać człek nieraz całe dyle dźwiga a nie stęknie... Co komu patrzy.. Godniej mnie nosić drwa, jak panu akademikowi. Ot tak dla znajomości i dobrej woli... Ale szkoda czasu, bierzmy się do roboty...

Mówiący zdjął z siebie płaszcz, wyciągnął z za cholewy metrówkę, a przeżegnawszy się pobożnie, począł mierzyć umarłych.

Dzieci zbudzone wejściem i rozmową, posiadały na tapczanie i z ciekawością przypatrywały się tej „robocie" stolarza, podczas

gdy matka odbierała od Tadeusza chleb, w chustkę zawinięty.

— Czemuś nie wziął paletota moje dziecko, jeszcze mi się przeziębisz... Czy już mało zmartwienia?

— Zapomniałem mamo. Gdzie mnie myśleć o tem...

— A tyś Jadzlu mówiła, że wziął...

Brat spojrzał znacząco, z niemą prośbą, na siostrę.

— Zdawało mi się mamo — wykrztusiła dziewczyna szeptem, a równocześnie chwyciła rękę Tadeusza i do ust przycisnęła. Nim ją zdołał cofnąć, uczuł na niej łzy.

Tych dwoje rozumiało się wybornie...

— Czemże zapłacimy trumny? zapytała z cicha matka.

— Pieniądzmi mamo — odpowiedział również cicho — Za dawniejsze pisaniny odebrałem od Dyrektora kilkanaście reńskich. Wystarczy.

— Bóg łaskaw na nas! Wdowa otarła łzę — a syn uśmiechnął się dziwnie ironicznie i smutno. Ale uśmiech ten dojrzała tylko siostra.

Tymczasem stolarz skończył „robotę“ swoją.

— No, ja już gotów. Na jutro wieczór dostawię trumny jak pieścidełka. Choć zamówień mam dużo, bo ludziska umierają, chwała Bogu, jak muchy, to się w słowie stawię. U mnie robota idzie, że się wszyscy święci w niebie śmieją.

— Ale trumny będą lakierowane? zapytała wdowa.

— Ma się wie, pani pisarzowo, dycht lakierowane, że się i do sądnego dnia będą świecić...

— Nie mamy przecież zgody na lakierowanie — przemówił Tadeusz.

— Fracha, mamy czy nie mamy... Kiedy mówię, że będą lakierowane, to będą...

— Zechcecie drożej panie majster, a nas nie stać...

— O! jaki to z pana filozof. Zechcę albo nie zechcę. Któż mówi, że zechcę! To pan wie nawet, czego ja nie wiem. I od kogo to brać za lakier! Niebożęta! dość już was bieda polakierowała....

— Ani możemy, ani chcemy przyjmować jałmużny — rzucił dumnie Tadeusz.

— Chryste Jezu, a to dopiero gorączka!.. Dobre serce, panie akademik, nie jałmużna. Wy biedni i ja prawda nie bogaty, ale nędza z biedą w parze idą. Stracić na was nie stracę, a choć nie zarobię, to się odbiję na bogatszych... Dobrego serca się nie odrzuca panie akademik.. Stoi?

Tu stolarz wyciągnął spracowaną dłoń do Tadeusza. trudno ją było odepchnąć.

— Bóg wam zapłać majstrze — i uścisnął serdecznie rękę rzemieślnika.

— Za mało, za mało! Bywajcie państwo zdrowi... Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków — odpowiedział mu głos wszystkich.

Po pogrzebie.

Zmarła w bolu bardzo rano....
Gdy usnęło serca bicie.
Requiem jej zadzwoniono,
Wieczna pamiat' zaśpiewano,
I złożono młode życie,
Skroń zzimniałą, pierś zmęczoną,
W wieńcu kwiatów w kurhan śnieżny,
W świat bezbrzeżny!

Na zwalonym szczęścia tumie
Serc współczucie stawia krzyże...
Ale między spłakanymi
Tylko dwoje śmierć rozumie:
Ty w żałobnym życia kirze,
Ty i ta, co drzemie w ziemi,
Girlandami uwieńczona —
Ty i ona!

Chcesz-że wskrzesić świat cmentarny
Przez ten ból, co jest bez skargi?
Przez ten żal, co niemy woła?..
Chcesz-że prochu ziemski, marny,
Bladych grobów kląć letargi,
Jako wzięły ci anioła,
Co tak młodo w tym pogrzebie
Zgasł bez ciebie?

Ona wróci — ta, co w duszy
Nieśmiertelnie jest odbita!
Z każdą wiosną wracać będzie ...
Gdy się świeży kwiat zapruszy.
Gdy cię słońca blask powita,
Ona w dziatek szepnie rzędzie,
Że choć ma posłanie w grobie,
Jest przy tobie!

Ona wróci z mgieł spowicia
Duszą z duszy, kością z kości,
Jak ci wieszczą wiary hasła...
Wróci piękna jak za życia,
Z uśmiechniętą łzą miłości,
Z łzą tą samą z którą zgasła!...
A więc daj jej w wiarę zbrojny,
Sen spokojny!

Włodz. Sebelski.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

(Dokończenie).

Weźmy kilka przykładów: I tak owa cecha wieku, ów brak indywidualności typowych. o szeroko zakreślonem działaniu i swobodzie ruchów, owo dążenie do zlania sił mnogich jednostek, wysuwa się ostro z kartek powieściowych. Półbogi ustępują miejsca ludziom prozaicznym; ani Montechristo, ani Lagardére nowy nie rozwija się z pieluch literackich; tytaniczna moc ducha tętni w łonie Spielhagenowskich bohaterów, ale nie wybucha na zewnątrz w krewkim czynie; wulkany wrą i dymią, ale nie leją lawy; uczucia i zamiary krążą po głębokich, niewidomych cieśniach, ale na niczem się kończą. Parturiunt montes...

Typ tego rodzaju dał nam Flaubert w „sentymentalnem wychowaniu“: „Fryderyk Moreau jest to natnra słaba, ma dobre chęci, inteligencję wrodzoną, charakteru żadnego. Ani jednego ze swoich wielkich pragnień urzeczywistnić on nie może. Pierwotnie chciał pisać dramaty o średniowiecznych bohaterach, następnie i to stosownie do podmuchu miłości własnej, miał zostać historykiem sztuki lub malarzem, mówcą lub deputowanym. Wszystkie projekta spełzły na niczem; po kilku dniach entuzjazmu ręce mu opadały i wracał napowrót do swej zwykłej bezczynności.“ W końcu dochodzi do moralnego bankructwa, do nirwany, do znudzenia wszystkiem. „Niemasz książki, mówi Juliusz Lemaitre, któraby równie dokładnie dawała nam poznać całą bezużyteczność istnienia, nicość ludzkiej działalności, rząd przypadku, względne znaczenie cnót i wad, i mówiąc prawdę, miernotę naszego rodzaju.“ Krytyka tej powieści może wszystkiego odmówić, ale nagiej prawdy nigdy; tej to prawdzie zawdzięczyć należy, że Fryderyk się zmarnował, bo inny powieściopisarz pewnoby drogi jego prostował, i cel wielki zbliżałby doń sztucznemi środkami.

Chyba tylko w powieściach J. Verne'a i niektórych kreacjach Jokaja ma człowiek możność w walce czy to z życiem, czy z potęgami przyrody, spożytkować wszystkie swe siły, działać we wszystkich kierunkach. To też z tych powieści, choć nieraz brak im prawdy i pełni, bije wezbrana, rwąca struga namiętnego, rozmachanego rzutu, jakiego brak najcelniejszym nawet utworom, nieskończenie wyższym dla swej szerokiej skali psychologicznej.

Ten ruch demokratyczny, który przeleciał od końca do końca po starym lądzie Europy i pod przeciętną miarę podciągnął umysły i serca, rozprzestrzenił także obszary ludzkości, powołał nowe żywioły do równouprawnionego bytu i pozwolił im czuć, działać, myśleć po ludzku. Więc występuje na arenę życia, kobieta jako istota dobijająca się swych praw długo jej przeczonych.

„Marta“ Orzeszkowej to pouczający typ z tego zakresu. Jest to smutna hi-

storja kobiety, którą modne wychowanie przerobiło na egzotyczny kwiatek, mogący pięknie kwitnąć w salonie przy ognisku domowem, ale niezdolny do samodzielnego życia, do walki z niedolą. Marta, wypróbowawszy wszystkie środki uczciwego zarobku, zewsząd z niczem odprawiana, kradnie w przystępie rozpaczy trzy ruble, by dziecku kupić mleka...

Pytanie postawione dobitnie i jasno.

Równie lud wiejski staje w całej prawdzie przed oczy czytającej społeczności. Już to nie jest ów idyliczny pasterz dmący w fujarkę u stóp cienistego klonu, już nie Wiesław bijący w podkówki ze stali, ale młodsze dziecko cywilizacji, długo odpychane przez nią, często zepsute, częściej poniewierane i zapomnieniem okryte. Jego los etyczny i moralny, świat jego staje się przedmiotem powieści, a ta wprowadza nas we wnętrze chaty, na pole, przed szynkwas brudny, wilgotny, rysuje cyniczne, choć w gruncie poczciwe postacie Siemieńców, opisuje nieszczęśliwe ofiary ciemnoty i pijaństwa, słowem zapoznaje nas z chłopem takim, jakim on jest w rzeczywistości, i broni sprawy jego przed trybunałem dojrzalszej części, wielkiej rodziny społecznej. Z ciemnych zaułków, z błota przedmiejskiego, z cichych wiosek o szumiących wierzbach, wysuwa się jakby karawana nieskończona istot bladych, pokrzywdzonych, odepchniętych od życia, a przecież żyjących i czujących prawo do tego życia.

Nie można twierdzić, żeby to zjawisko było powodem, do zajęcia się intelligencji niższemi warstwami, że poezja ludowa dostarczyła już na początku naszego wieku motywów romantycznej szkole, że filantropia bierze lud w opiekę, zakłada mu kasy, szkółki, że wytrąca mu z ręki kieliszek i broni go od pijawki lichwiarskiej, że mu w państwach konstytucyjnych otwiera sale sejmowe i sędziowskie ławy, nie można twierdzić stanowczo; to pewna, że powieść dużo przyłożyła się do tego, otwarła oczy ludziom, którzy nigdy nie zastanawiali się nad dolą naszych parjasów, że najlepiej o tem poświadczy nieopisane wrażenie, jakie wywarły w Rosji „Pamiętniki myśliwca“ pierwszy płód mistrzowskiego pióra Turgeniewa. A „Szkice Węglem“, czy to nie satyra krwawa samorządu gmin w królestwie Polskiem, a niektóre drobne powiastki Okońskiego...?

Nie zwykłej miary na tem polu dosięgnął Emil Zola w kilku swych „Typach duchowieństwa francuzkiego“. Na żadne ze swych pytań nie dał odpowiedzi, każde zagadkowem światłem komety migoce nad horyzontem XIX wieku.. Ale rozwiązanie do powieściopisarza nie należy, praca to nad siły jednostki. Ludzkość od świtania pierwszej doby pracuje nad tem, a ideału nie osiągnęła po dziś dzień. Tendencja powieści polega tylko na zapisywaniu takich znaków zapytania na dziwnej drodze pochodu człowieczeństwa.

Trudno nam krok za krokiem iść i zbierać na szerokiem polu beletrystyki wszystkie te ziarna żywotne, jakie w sobie mieszczą jej płody. Trudno je podzielić w pewien system, bo każda celniejsza powieść nosi na sobie jakiś pokost oryginalny, wyróżniający ją z podobnych jej płodów. Dopiero dążności i cele powieści wzięte razem, ułożone w mozajkę o nieprzeliczonej skali barw, odcieni i blasków, zlewają się w jeden ogólny, charakterystyczny wyraz, będący objawem społeczeństwa, jakie go wykołysało.

Wtedy zobaczymy, że treść rzeczy została ta sama, co była od wieków. Jeden wyraz „człowiek“ zawiera w sobie to wszystko, co wypełnia karty powieściowe, co drga i drgało na strunach poezji. Treść zostaje ta sama, ale forma i pojęcie treści w nowe przelały się kształty. Czy te kształty są już ostatniem słowem tworzenia, dziś trudno o tem sądzić — ale są one wytworem, którego posady zakorzenione są w najgłębsze tajniki teraźniejszości, to też do nich tylko przystają one, jak odlew do swego łożyska. Zasługa tej fazy w dziejach umysłowości polega, że bierze ona swój żywioł surowy z pierwszej ręki, ze samego źródła, i walczy samą prawdą, nie goniąc za efektem, nie obarczając się balastem inwencji. Z tą drogą każdy twórca zawsze rachować się będzie musiał. Ma realizm swe skazy, w rękach pozbawionych owego delikatnego dotknięcia, które instynktowo rozstrzyga, czy coś nada je się do tła artystycznego, czy też lepiej nie tykać brudnych plam i kału, — powstaną na tej drodze kreacje wstrętne, a co więcej nie moralne. Szukanie impresji i drażniącej nerwy senzacji, równie niebezpieczne wydaje skutki w powieści, jak w malarstwie i rzeźbie. Tego rodzaju utwory osławiły kierunek zkądinnąd zdrowy i naturalny, ale kto z nich sądzić chce ogół, ten i romantyków potępi, dla przesady i ckliwości wielu ich adeptów, ten każdy kierunek wyśmieje, bo znajdzie wśród arcydzieł potworny płód lichej kompilacji...

J. Ł.

Młoda matka.

(Opowiadanie prawdziwe.)

(Dokończenie)

Najchętniej byłby H... pobiegł za dorożką, lecz na szczęście w oka mgnieniu zorjentował się, że to chyba byłoby już za wielką niedorzecznością; na tem stanowisku, w tym wieku należało mu przecie być rozsądniejszym, i nie dać się oślepić zupełnie pierwszej lepszej pięknej twarzyczce. Wszak słyszał ledwie dwadzieścia słów z jej ust, i mógł nabrać prawie pewności, że młoda nieznajoma jest zamężną, zapewnie małżonką tego prozaicznego małego jegomości, jak to zresztą niejednokrotnie już spotykał w swojem życiu.

Atoli rzecz pono wiadoma ogólnie, że w późniejszych latach namiętności goreją silniej, niżeli szybko przemijające wrażenia młodego wieku... Po długich medytacjach i rozumowaniach, obudziła się w w sercu sędziego gwałtowna i silna potrzeba miłości, i oczywiście wspomnienie pięknej nieznajomej prześladowało go bez miłosierdzia.

Napróżno mówił sam sobie, że karmiąc się tem uczuciem, stanie się niebawem jakimś zrozpaczonym Werterem lub nicponiem Don Żuanem — nadaremnie stawały mu w pamięci wszystkie widziane na deskach teatralnych dramata i tragedje, których treścią było właśnie wiarołomstwo małżeńskie, tak bezwzględnie zawsze przezeń potępiane! W końcu nie widział dla siebie innego ratunku, jak zakopać się w pracy, i w zapomnieniu szukać ulgi dla zbolałej duszy... Zabrał się więc do roboty z gorączkowym zapałem, i dnie całe trawił pochylony nad biurkiem. Trwało to jakiś czas, sędzia zmizerniał, stracił na humorze, aż jeden z kolegów, uderzony tą dziwną zmianą, postanowił oderwać „hypochondryka“ od pochłaniających go aktów, i wywabić na świat, między ludzi. W tym celu po długich perswazjach, wmówił w niego, że koniecznie musi pójść z nim na bal maskowy, bo on to w jego imieniu przyrzekł radczyni X i pani Y, z tej przyczyny też miał nawet bilety dla obudwu w kieszeni.

Sędzia się wymawiał, ociągał, na koniec uległ. Gdy przyszedł ów wieczór, choć miał przykry ból głowy, poszedł przecie na bal, nie chcąc przyjacielowi zrobić zawodu.

Usiadł w loży, obojętnie patrzył na różnobarwny tłum masek i kostiumów, i nie mniej obojętnie słuchał zagadującego co chwilę przyjaciela, który starał się rozerwać go, wskazując raz po raz na tę lub ową sławną w stolicy piękność. Zdawało się pozornie,

że słuchał słów kolegi, bo machinalnie wodził oczyma po sali, lecz w rzeczywistości myśli jego błąkały się ztąd daleko. Podczas gdy tu otaczały go śmiechy, szepty, wrzawa radosna, on widział „oczyma duszy“ — jak zwykli mówić poeci, — młodą kobietę pochyloną nad dzieciakiem, i usypiającą go śpiewem rzewnym. W tej chwili wszedł do pokoju ów mały jegomość, pocałował żonę i śpiącego malca, i oddalił się na palcach do sąsiedniego pokoju. Jacyż to szczęśliwi ludzie, jak z głębi serca zazdrościł zwłaszcza jemu, tej rozkoszy! Gdy tymczasem dla niego takie szczęście było marą nieuchwytną— on snać skazany był przez okrutny los na zabijającą samotność i nędzne życie!

Widząc zamyślonego i pochmurnego kolegę, przyjaciel wziął go pod ramię i sprowadził na dół do sali. Skoczne tony Strauss'owskiego walca rozdzierały mu uszy i drażniły tak okropnie, że już chciał zawrócić i uciekać, gdy w tem ujrzał „coś“, co go niemal w miejscu przykuło. Wśród tłumu tańczących, zobaczył swą piękną nieznajomą, walcującą z jakimś oficerem. Wyglądała prześlicznie, a przytem miała taki dziewiczy urok w twarzy i całej postaci, że z pewnością nikt byłby nie odgadł, że owa piękna tancerka zostawiła małego synka w domu, i jest małżonką owego niepokaźnego jegomości, koło którego w tej chwili właśnie posadził ją jej tancerz. Miała na sobie gustowną suknię z białego jedwabiu, zamkniętą skromnie aż po szyję, a w bujnych splotach kosztowną gwiazdę brylantową.

Wyobrazić sobie łatwo, co na ten widok działo się w sercu sędziego, i jak chętnie byłby ją poprosił do tańca. Niestety jednak nie miał nikogo, żeby go jej przedstawił, a w dodatku w tej chwili ujrzał, jak nieznajoma podniosła się z towarzyszem, i skierowała kroki do bufetu. Poszedł za nimi, i nad wyraz wszelki czuł się szczęśliwym, gdy mógł jej podać talerzyk z lodami, do którego jej mały towarzysz nie mógł docisnąć się wśród tłumu. Podziękowała mu z pewnem zakłopotaniem, i gdy po chwili odchodziła, oparta na ramieniu męża, rzuciła mu przelotne spojrzenie, które głęboko uwięzło w sercu sędziego.

— Dosyć tego Zosiu na dziś! — usłyszał H... Jesteś już zmęczona, okryj się narzutką, pójdziemy.— I owszem — odpowiedziała z uśmiechem — już późno, a nie chciałabym obudzić małego i Maryni.

Za chwilę opuścili salę.

Nie trudno pono zgadnąć, że wnet potem sędzia uciekł z balu. Gdy się znalazł w swojem mieszkaniu i położył do łóżka, ból głowy zwiększył się mu gwałtownie i dreszcze trzęsły go do rana, choć się przykrył ciepło. Nazajutrz zwlókł się jeszcze do biura, na trzeci dzień jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i chcąc nie chcąc postanowił pozostać w domu, i na usilne rady poczciwej gospodyni, przywołać lekarza. Ale którego? Dotychczas był zdrów zawsze, i jak na biedę nie znał w stolicy ani jednego eskulapa. Gospodyni radziła, aby wezwać dr. W.... który zażywał sławy zdolnego lekarza, miał liczną klientelę, i jak wraz mieszkał w tym samym domu. Sędzia zgodził się na to.

Posłana służąca nie zastała doktora w domu, właśnie był gdzieś zawezwany, ku wieczorowi jednak miał wrócić napewne. Już zmierzchało, i służący zapalił lampę, gdy za drzwiami odezwał się znajomy jakiś głos, dopytujący o sędziego H... Po chwili wszedł doktor W.

O mało nie runął na ziemię ze wzruszenia, ujrzawszy wchodzącego — więc to ten sam mały jegomość a jej mąż owym doktorem, mieszkał w tym samym domu, i ona... ona... tutaj, tak blisko... Najróżnorodniejsze uczucia miłości, radości, nienawiści, skrzyżowały się i starły w okamgnieniu w jego sercu.

Nic też dziwnego, że przy oględzinach doktor znalazł u pacjenta tętno gwałtownie przyspieszone, skonstatował z objawów obecność silnej febry, skutkiem przeziębienia, i wielkie podrażnienie nerwów. Na razie zalecił mu największy spokój, rozkazał położyć się do łóżka, i odchodząc przyrzekł odwidzieć go nazajutrz rano.

I rzeczywiście doktor W. pojawił się na drugi dzień punktualnie, o zapowiedzianej godzinie, i jakkolwiek sędziemu zdawało się w pierwszej chwili, że musi koniecznie nienawidzieć człowieka, który był w posiadaniu „najszlachetniejszego klejnotu“, mimo to niebawem zauważał, że niepodobna go niepolubieć. Stanowcze i pewne siebie traktowanie choroby przejmowało mimowolnie zaufaniem do jego sztuki i wiedzy, a przytem serdeczne jego obejście odbierało wszelką ochotę, aby choć chwilkę tylko popatrzeć nań z ukosa. Ach, jakże szczęśliwą musiała się ona czuć w pożyciu z nim, jakkolwiek wiele mu brakowało do zewnętrznej okazałości sędziego, a głowa jego i zarost twarzy dobrze już przyprószyła siwizna.

Trwało tak kilka tygodni, i doktor wyprowadził chorego szczęśliwie z niebezpiecznej febry — odwidzał go często dwa razy dziennie, doglądał z troskliwością niemal kobiecą, słowem pamiętał o wszystkiem, cokolwiek mogło posłużyć mu dla jego ulgi. A gdy już był w stanie rekonwalescencji, nieraz jeszcze spędził z nim godzinkę na poufałej rozmowie, usiłując w ten sposób rozerwać mu długie wieczory samotne. H... nie należał nigdy do niewdzięcznych ludzi, tem większą zatem czuł obecnie sympatję dla człowieka, który oprócz tego, że mu tyle dobrego zrobił, nadto mimowolnie każdego pociągał ku sobie. Zresztą słabość przebyta podziałała na usposobienie sędziego w łagodzący sposób. Dzika jakaś namiętność poprzednia przemieniła się w cichą tęsknotę. Ktokolwiek z nas wracał do zdrowia po ciężkiej chorobie, wie dobrze, z jaką to radością wita się darowane życie, jak wszystkie szorstkie wspomnienia zdają się być oszlifowane i wygładzone, a kolory dawniej rażące, teraz przytłumione i złagodzone.

Przyszła wiosna, nie z tem zwodniczem jeszcze ciepłem marcowem, ale na prawdę już słoneczna i kwiecista. Okna sędziego wychodziły na ogród, skąd, gdy były otwarte, przychodziła do jego pokoju woń bzów rozkwitłych. Lecz niczem mu było słońce i wonie wiosenne, nad częsty widok ślicznej kobiety, która w pogodne dnie woziła dzieciaka po ogródku. Jakże byłby rad zejść do niej, i wynurzyć jej uczucia swoje, które ciągle jeszcze paliły go w sercu. Takich dni, gdy go odwidzał doktor, twierdził, że słabość zostawiła po sobie w upominku trochę melancholji, z której należało mu otrząść się jak najprędzej. Zdaniem doktora najlepszem na to lekarstwem byłoby towarzystwo i rozrywka.

— Przyjdź pan do nas kochany sędzio— rzekł pewnego dnia doktor w ciągu swojej bytności. — Pierwszą wizytę darujemy panu z uwagi, żeś jeszcze przez pół pacjentem, zresztą żona moja nie należy do rzędu kobiet, przestrzegających surowo przepisów etykiety, a ucieszy się szczerze, gdy pan zechcesz towarzszyć nam w święceniu pierwszej rocznicy urodzin naszego Jasia. Niejednokrotnie już byłem dopytywany o stan pańskiego zdrowia; otóż sądzę, najlepiej pan sam odpowiesz, gdy się u nas pojawić zechcesz. Więc do widzenia, oczekuję pana w gabinecie, w godzinach ordynacyjnych, bo chciałbym przed tem przekonać się o skutku ostatniego proszku.

I nie czekając na odpowiedź niepokaźny doktor odszedł, a sędziemu nie pozostało nic, jak stosownie do rady, udać się tam o oznaczonej godzinie. — I dla mnie będzie lepiej — myślał po drodze — gdy pójdę odważnie w sam ogień... prędzej się może przemogę i uleczę.

Za chwilę służący wprowadził go do parloaru doktorskiego. Drzwi prowadzące ztąd do dalszych pokojów, były niedomknięte, dzięki czemu słyszał, niemal widział najdokładniej, jak młoda matka bawiła swojego Jasia, huśtając go na rękach, skacząc po pokoju i wyśpiewując pół głosem. Po kilku minutach usłyszał te słowa:

— A teraz zobaczymy, czy tatko wrócił, lub też czy może dziś nawet każe swojemu Jasiowi tak długo czekać na siebie... — Z ostatnim wyrazem otworzyła drzwi i stanęła jak wryta w miejscu przed wystraszonym sędzią. Nie mniej jednak i ją niespodziany widok nieznajomego formalnie przestraszył — w oka mgnieniu zbladła i spłonęła na przemian ze wzruszenia. — Przepraszam pana, nie przypuszczałam, że ktoś jest... odezwała się pierwsza, cofając z dzieckiem.

— Czekam tu na pana konsyljarza, wiedzę jednak, że mimowoli stałem się natrętnym. .

— O bynajmniej nie — odparła. — Władzio przyjdzie zaraz, proszę pana usiąść tam na fotelu... wyglądasz pan znacznie gorzej, niżeli wówczas gdyśmy się pierwszy raz spotkali... Atoli Władysław twierdził zawsze, że pan masz znakomicie silną naturę, w przeciwnym bowiem razie, ta okropna febra byłaby go przemogła... O! myśmy często o panu myśleli... — Urwała zakłopotana widocznie, jak gdyby za wiele powiedziała była, i niby ratując się zwróciła się do dziecka. — Jasiu podajże temu panu rączkę! Tak, tak, aniołku! A teraz pokaż panu baranka, sukienkę nową, i czerwone trzewiczki...

Jaś wesół i niezwykle przyjacielski, wykonał co mu rozkazano, a nawet więcej, bo przeginając się, zaczął poufale targać brodę i wąsy sędziego. Ten ze swej strony spróbował wziąć malca na ręce, który ku zdziwieniu młodej kobiety, poszedł doń ochoczo.

— A ty mały zdrajco! — zawołała Zosia — zostańże teraz u tego wujcia, nie wezmę cię!

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł doktor.

— A! to pan sędzia! i jak widzę już z Jasiem w przyjaźni! Zofio, ty znasz zapewne pana sędziego?

— Pani dobrodziejka nie pozwoliła mi dotychczas przedstawić się... przerwał H...

— Pani dobrodziejka? Być może, że kiedyś nią będzie, nie prawdaż Zosiu? Obecnie jednak zawsze jeszcze panna Zofia! — odparł doktor z uśmiechem.

— Więc pani nie zamężna? zapytał sędzia, i ze wzruszenia o mało dziecko na posadzkę nie upuścił.

Skądże to przypuszczenie i kogo pan uważałeś za szczęśliwego męża Zosi?

— Pana!..

— Mnie? — powtórzył doktor, i począł śmiać się serdecznie.. — Ależ Zosia poprzysięgła sobie, że nigdy nie poślubi mężczyzny tak niskiego wzrostu, jak ja. Zresztą co do mnie, dzięki Bogu, mam już żonę, jej rodzoną i podobną do niej siostrunię... No, ale chodźmy teraz do gospodyni domu, mojej Maryni... ona biedna chorowała prawie cały rok, a Zosia musiała przez ten czas grać rolę matki i gospodyni. To też rozpuściła mi malca gorzej, jakby rodzona matka...

Każdy się pono domyśli, że w kilka dni sędzia formalnie oświadczył się doktorowi o rękę Zosi, a ten ze swej strony przyjął go z otwartemi ramionami, rozerwując oczywiście dla panny Zofii ostateczną decyzję.

Panna Zofia zgodziła się na propozycję bez wahania, a gdy sędzia ośmielony już i uważając się za narzeczonego, opowiedział jej całe swe życie dotychczasowe, i wspomniał o tem, jak to swojego czasu postanowił był asystować tylko mężatkom, Zosia zastrzegła sobie na serjo, aby odtąd zapomniała raz na zawsze o tem oryginalnem postanowieniu....

Wzory przemysłu domowego.

(Kilka słów o wydawnictwie Muzeum przemysłowego we Lwowie.)

Sztuka i przemysł mają wiele punktów stycznych, a niekiedy łączą się tak ściśle, że niepodobna pociągnąć pomiędzy niemi granicy, i trudno w istocie powiedzieć gdzie się kończy rękodzieło, a zaczyna się artyzm właściwy. Jest to rzecz naturalna, bo i sztuka nie wyszła skądinąd, jeno z przemysłu, a jeżeli pierwszego matką były potrzeby materjalne, matką drugiej nie było nic innego jak potrzeba moralna umysłu ludzkiego, który chciał dogodzić faztazji swej twórczej, i mając już rzecz potrzebną dla wygody swojej, poczuł, jak pięknie dowodzi J. Kremer, iż na dobie jest je upiększenie, nadanie jej ozdobnych kształtów.

I począwszy od człowieka pieczar, który kościaną czy rogową broń swoją ozdabia niezdarną dłonią i jeszcze niezdarniejszem narzędziem, człowiek podoba sobie w tej pracy, która jest już na dobie, i ubiera wyobrażenia swoje w kształty i linie zmysłowe, a dogadza w ten sposób tylko naturze swojej, która jest dlań najwyższym imperatywem.

Nowsza estetyka niewierzy w dogmaty. Jej podstawą jest także empiryzm, a ztąd to dawna spekulatywna teorja sztuki przemieniła się dziś w historję. Krytyka nie wydaje już wyroków apodyktycznych na zasadzie reguł stałych wzorów klasycznych, lecz opierając się na faktach danych sądzi każdą epokę według jej dziejowej wartości, odpowiednio do wpływów i okoliczności zewnętrznych.

Z tego powodu badanie pierwiastków sztuki, jej początków, —niezmiernie ważnem jest dla estetyka. Rysunek twardy mieszkańca jaskiń na płytce łupku, jest historycznie równie ważnym, a bodaj czy nie ważniejszym pomnikiem fantazji ludzkiej, jak dzieło artysty z epoki renesansu, a wytwór przemysłu domowego, jako dzieło nieukształconej fantazji, jest tak samo rozwiązaniem nie jednej zagadki psychologicznej czy etnologicznej, jak wielkie kompozycje epoki Fidiasza i Praksytela. Każdy rozwój ma, jak powiada Tyszyński, swoje uprawnienie i powód już w ziarnie, a kto pozna siły i powód kiełkowania rośliny, ten odgadnie także wzrost jej przyszły.

W przemyśle domowym ludu tkwi bez kwestji zaród sztuki. Prof. Exner dowodził słusznie, że w wielu wypadkach należałoby wziąć za wzór wyroby przemysłu domowego włościan, jako wytwory niezepsutego smaku i naiwnego a prostaczego uczucia, i właśnie jako takie mają one nie tylko wielkie znaczenie artystyczne, ale niemniej ważne są dla historyka, śledzącego rozwój sztuki nie tylko tam, gdzie ona w kwiat się rozwija, ale i w jej stanie pierwotnym. Podobieństwo pewnej symbolistyki i ornamentyki wyrobów pierwotnych u wszystkich ludów wskazuje nam, że wytworzył je nie przypadek, nie stosunki zewnętrzne, ale konieczna analogia fantazji artystycznej w pewnej epoce życia ludzkości.

Z tego powodu zwrócono w ostatnich czasach wszędzie uwagę na wyroby przemysłu t. z. domowego, a u nas wielkie w tym kierunku położył zasługi p. Ludwik Wierzbicki, dyrektor Muzeum przemysłowego, który od lat kilku wydaje wspaniałą publikację pt: Wzory przemysłu domowego.

Obecnie dwie nowe serje V. i VI. tego wydawnictwa, zawierają wyroby ceramiki domowej i wyroby metalowe hucułów, i ta okoliczność uprawnie do nas do obszerniejszego pomówienia o „Wzorach“ w ogóle, chociaż raz jeszcze będziemy musieli do nich powrócić, gdy wyjdą dalsze zeszyty, mające zawierać wyroby z drzewa, słomy i sitowia.

Serja pierwsza i druga zawiera hafty włościan ruskich, mieszkających po lewym brzegu Dniestru: na Podolu, Wołyniu i Pokuciu. Hafty te wykonane są rozmaitym sposobem; włościanki nasze znają się równie dobrze na ściegu tkackim jak na krzyżykowym, a wykonują desenie widocznie podług wzorów odwiecznych, żyjących w tradycji, i przenoszących się z pokolenia na pokolenie. Wzór każdy ma swoje nazwisko, a jakkolwiek niejednokrotnie trudno dociec zkąd ono powstało, to przecież pewne nazwy dowodzą, że powstały one po prostu z wzorów

naturalnych, które haftom służyły za podstawę.

Często rysunek deseni przypomina bardzo żywo te wzory, a chociaż głównym i powtarzającym się najczęściej motywem jest tu krzyż wpleciony w rozmaity sposób pomiędzy ornamenta, z powodu czego wzór nazywa się raz „chresty hreczkoju" to znów „chresty kupczasti", „powiji" lub „rozbyti chresty," nie brak w nich przecież i innych motywów, a mianowicie motywów roślinnych, przedstawionych ornamentacyjnie, jako to liści i owoców winogradu, lub chmielu, tudzież plecionek skombinowanych (kosyczki,) gwiazd (zwizdy) owitych bardzo pięknym rysunkiem i tp. Pomiędzy wzorami tymi zaś znajdziemy mnóstwo deseni, wobec których powstydziłaby się nie jedna z zawodowych, a wykształconych specjalnie na „klasycznych" wzorach hafciarek, mimo to, że owe hafty włościańskie wykonane są po największej części tylko dwoma kolorami, czerwoną nicią i niebieską, w których kolor niebieski odgrywa rolę cienia. Pomiędzy wzorami jest kilka nadzwyczaj gustownych szlaków (znaszywki), z wzorów większych każdemu podobać się może deseń nazwany przez jakiegoś rozkochanego widocznie „czarnobrywci" (Serja I. Tabl. V. fig. 1.) lub „połanycznyk" (X. 3) w serji II. „wid wusatych riski" (II. 2.) „czubati" (IV. 2.) lub „kupczasti", (VI. 1.), a żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam wymienić więcej przykładów. Panie nasze zajmujące się haftem, powinne by brać desenie te za wzór raczej, a nie ubiegać się za nienaturalnymi, bo z charakterem haftu niezgodnymi wzorkami, przedstawiającymi sceny jakieś, polowania, lub tym podobne wyszukane rzeczy, które chyba dlatego tylko ładne są, że jaskrawe. W obu serjach „Wzorów" znajdą rzeczy prostotne wprawdzie, naiwne, ale niemniej gustowne, i jeżeli tak powiedzieć można — stylowe.

Skoro jesteśmy już przy haftach, godzi się powiedzieć na zakończenie pierwszego artykułu choć słowo o serji III i VI. „Wzorów" zawierających dywany i kilimki.

Kobiernictwo wszelkie pochodzi ze wschodu. Nazwiska przyjęte u nas najlepiej dowodzą, że ztamtąd przyszedł do nas ten przemysł wraz z rysunkiem wzoru, chociaż te desenie zmieniły się u nas z czasem przybierając charakter rodzimy. Więcej tu barw, aniżeli w haftach, ale wiele motywów znanych, z pewnemi odmianami w tle i rysunku się powtarza. Jedyną nowością jest tu może owa sztywna, stylizowana roślina (Tab. 19.), jakiej niemieliśmy w haftach przykładu, ornamentyka złożona z kwiatów i motyli (Tab. 20.) i w ogóle większa śmiałość w wynajdywaniu i układaniu wzorów, chociaż w parze z tą śmiałością, nie idzie zawsze poczucie i pewność konturu.

Tyle o czterech pierwszych serjach „Wzorów." Na zakończenie godzi się wspomnieć, że wykonanie tych dwóch zeszytów pod względem wytworności nie pozostawia nic do życzenia. Wzory haftów, zwłaszcza wykonane w szkole rysunków muzeum przemysłowego pod nadzorem p. Tschirschnitza przez p. Helenę Komorowską, odznaczają się nadzwyczajną starannością, a odbite są wzorowo w zakładzie litograficznym Kostkiewicza. Pochwała ta może zbyt spóźniona, ale niechaj ona będzie wyrazem uznania dla zakładu, który umiał nadać wydawnictwu pomnikowemu cechę europejską.

Przegląd muzyczny.

Koncert p. M. Wolfsthala.

Już z samego programu koncertu, który się odbył w sobotę d. 2. b. m. można było wysnuć pewne wnioski co do kierunku gry pana W.

Program ten a zwłaszcza kilka jego numerów jak 17. koncert Paganiniego (Ddur resp. Esdur,) Souvenir de Haydn Leonarda i Tarantela Wieniawskiego, kazały nam się spodziewać, że koncertant stanął pod względem techniki na wyżynie nie wielu dostępnej, jak również, że przenosi efekt i brawurę nad głębszą i poważniejszą muzykę. I rzeczywiście wrażenia, któreśmy odnieśli z koncertu, były p r a w i e identyczne z wyobrażeniami przed koncertem powziętemi.

Mówimy p r a w i e, bo nie spodziewaliśmy się znaleść u p. W. tego tonu, który jakkolwiek (z winy zapewne nie szczególnej jakości instrumentu) nie zawsze równie wdzięczny i miły, zasługuje jednak w każdym razie na nazwę więcej niż średniego.

Mimo jednak tych zalet, mimo wielkiej czystości, deklamacji sumiennej i dokładnej, gra p. W. nie wywarła na nas silniejszego wrażenia. Aby słuchaczów rozgrzać i porwać, nie podobna samemu zimnym pozostać, a u p. W. zaledwie przy odegraniu ostatniego utworu (Scherzo-Tarantelle Wieniawskiego) mogliśmy zauważać maleńkie podwyższenie temperatury. O ile jednak szło o wprowadzenie publiczności w zdumienie, to cel ten osiągnął p. W. w zupełności odegraniem koncertu Poganiniego, i w całem tego słowa znaczeniu artystycznem wykonaniem utworu Leonarda, szczególnie warjacji z własnym akompanjamentem. Szkoda że p. W. nie grał wszystkich warjacyj.

Natomiast jako kompozytor nie stoi p. W. wysoko. Polonez jego najeżony trudnościami i bardzo efektowny, nie ma myśli przewodniej, jest jakby konglomeratem pojedyńczych melodyj, warjantów tychże, ustępów o charakterze bolera i t. p. i prócz pierwszego nowego i świeżego motywu, w całości rzeczą słabą. P. Gerbicz był przy głosie i odśpiewał Chant de Mai Meyerbeera i Widmung Fuchsa, a zwłaszcza to ostatnie prześlicznie. Zauważyć musimy, że nieszczególny fortepian był fatalnie rozstrojony.

Ł

ZIARNKA.

W kilku dniach ostatnich byliśmy tu świadkami paru procesów kryminalnych, które żywo zainteresowały publikę miejscową. Sala sądowa bywała oblężoną, a miejscowe dzienniki podawały długie, stenograficzne niemal sprawozdania z przebiegu rozpraw sądowych. Rozprawy rozkrywały przed ławą przysięgłych i natłoczoną publicznością okropne, krwawe dramata, przed sądem stawali rzeczywiści, lub domniemani sprawcy tych zbrodni — nic też dziwnego, że ludność naszego miasta interesowała się żywo tem wszystkiem. Jeżeli z zaciekawieniem czytamy powieści, które roztaczają przed nami całe pasma scen dramatycznych, wyjaśniają nam ich ukryty wątek, roztwierają przed nami dusze bohaterów; jeżeli spieszymy na widowiska teatralne, w których podobne wydarzenia uhrano w łudzącą szatę rzeczywistości, to dlaczego nie mamy spieszyć do sądu, gdzie sama naga rzeczywistość pokazuje nam swe niepodmalowane, okropne nieraz, a często tak głęboko smutne oblicze...

Nie dziwi nas to powtarzamy. Kto jednak obserwował naszą przeciętną publikę sądową, ten nie nabrał niewątpliwie zbyt korzystnego wyobrażenia o jej intelligencji i poczuciu moralnem. Wiadomo także, iż w teatrze publika śmieje się często, lub w inny sposób zdradza swoje niezrozumienie rzeczy i brak krytycznego zmysłu w ustępach, podczas których intelligenty widz oddech prawie wstrzymuje i wpada w zadumę. Podobne jednak beztaktowne i bezrozumne objawy w obec samej rzeczywistości, w sądzie, są o wiele przykrzejsze. A któż ich nie obserwował!

Zbytkiem taktu nie grzeszy również i dziennikarstwo. Panowie sprawozdawcy sądowi, wiedzieć by naprzód powinni, że rozprawa sądowa służyć ma przedewszystkiem

dla wykrycia prawdy nie zaś dla zabawienia gawiedzi. Rozprawa toczy się często dni kilka i sprawozdania czytają także panowie przysięgli, ton więc tych sprawozdań i sposób przedstawienia rzeczy może i na nich nie pozostać bez wpływu. Nie sądzimy zaś, ażeby korzystnie oddziaływały na publiczność i sędziów udramatyzowane fantasmagorje panów reporterów zatytułowane: „Potwory i t. p., w których często wątek sam tylko zaczerpnięto z sali sądowej. Kto ma gust i wolę pisywać kryminalne romanse, ten inne może, mniej szkodliwe znaleść miejsce po temu. Rozprawa sądowa, powtarzamy, której sprawozdanie ma być odbiciem, służy przedewszystkiem do wykrycia prawdy...

Sprawozdawcy przytem winni być przejęci tym duchem humanitarnym, jakim przejęte jest nowsze prawodawstwo kryminalne. Jeżeli pragną traktować sprawozdania, jako utwór sztuki, to niech będą przedewszystkiem realistami, i niech wleją weń pewien sens szlachetniejszy, pewną ideę, jaka ożywiać winna intelligentnego pisarza. Niech zaś przedewszystkiem znają i pojmują ducha nowoczesnego prawodawstwa, ażeby z nim nie stawali w kolizji i nie tworzyli przykrych dysonansów. Od czasu nieśmiertelnego ucznia encyklopedystów francuskich B e c c a r i i i broszury jego (Dei delitti e delle pene — 1764), broszury przetłumaczonej na wszystkie europejskie języki, a której humanitarne tendencje znalazły następnie częściowe choć uwzględnienie w prawodawstwach — rozprawa karna służy przedewszystkiem dla wykrycia nie w i n y lecz n i e w i n n o ś c i domniemanego lub zdeklarowanego sprawcy zbrodniczego czynu; odkąd wyrzucono z izb sądowych tortury fizyczne, nie ma także miejsca i dla tortur moralnych, a osoba zbrodnicza nawet otoczona być winna humanitarnem współczuciem. Sąd patrzeć winien nie na czyny tylko, lecz na ich wewnętrzne pobudki, na cały psychiczny proces wewnętrzny, który zachodził w duszy zbrodniarza przy spełnieniu zbrodniczego czynu, na jego charakter i intencje. Trzeba mieć w pamięci głębokie, ludzkie badania Roberta Owena, który uczył, że człowiek, a więc i zbrodniarz jest wytworem otaczających go stosunków, i działa z pewną wewnętrzną koniecznością, o czem znowu poucza psychologia współczesna.

Tem zaś ważniejszem jest to tam, gdzie prawodawstwo zatrzymało jeszcze karę śmierci, zabytek sądów średniowiecznych, oparty na przestarzałej zasadzie, „ząb za ząb, oko za oko", która zastosowana do pojęć dzisiejszych, mogła by doprowadzić do niespodziewanych wcale dla zwolenników zasady j u s t a l i o n i s konsekwencyj...; tam nareszcie, gdzie instytucja sądów przysięgłych, swobodna prasa i opinia publiczna, ma wypełniać zastarzałe braki kodeksów, i martwą literą prawa natchnąć rozumną i humanitarną treścią współczesną.

* * *

Po kilkumiesięcznej przerwie przedstawiono znowu na scenie tutejszej nie starzejącą się dotąd komedję Beaumarchais'go „Wesele Figara." Nie mamy zamiaru pisać oceny gry artystów, którzy w niej występowali, możemy nawet powiedzieć, że rażących zbyt braków nie było. Nie oto nam jednak idzie. Chcemy zrobić tylko przy sposobności uwagę, że ilekroć patrzymy na nieśmiertelne dzieło francuskiego mistrza, przypominają nam się słowa zmarłego niedawno Hettnera, wypowiedziane z powodu „Cyrulika Sewilskiego i Wesela Figara" Beaumarchais'go. Otóż Hettner, najznakomitszy niewątpliwie badacz dziejów umysłowego rozwoju zeszłego wieku, w klasycznej swej „Historji literatury XVIII stulecia" powiedział, że wielką rewolucję francuską, w Paryżu przygotował właściwie Beaumarchais swemi komedjami. Wyrzeczenie to illustrują wymownie znane losy komedyj. Długo nie zezwalano na wystawienie „Wesela Figara", z powodu wycieczek przeciw istniejącemu porządkowi, licznie rozsianych w utworze Beaumarchais'go. Komedja czas jakiś kursowała w rękopiśmie, odczytywana i odgrywana poufnie w salonach liberalizującej arystokracji ówczesnej. Talent jednak w końcu zwyciężył. W roku 1784 król zezwolił na wystawienie komedji. Powodzenie było nieznane dotychczas w dziejach sztuki tetralnej. Lud paryski formalnie cisnął się do przybytku Melpomeny. Dano ni mniej ni więcej tylko 100 przedstawień z rzędu, co na stosunki teatralne ówczesne było rzeczą niesłychaną. Przedsiębiorca zarobił na Beaumarchais'm 500.000 — pół miliona franków, a i autor dostał honorarjum w pokaźnej summie 80.000 franków. Fakta te silnie popierają zdanie Hettnera.

Cóż jednak było powodem tego niezwykłego sukcesu? Nie mówimy o zaletach artystycznych komedji, o jej realizmie, akcji nader ożywionej, zręcznym i ciętym djalogu, co wszystko jaskrawo odbijało od klasycznych tragedyj Corneila i Rassyna, wykrochmalonych, sztywnych, przesadnych, których bohaterowie chodzili na koturnach. Zalety jednak artystyczne nie wytłumaczą nam jeszcze tajemnicy ogromnego wpływu komedyj Beaumarchais'go. Było tam jeszcze coś więcej, była treść współczesna, wiał w nich już duch, zasiany przez encyklopedystów i wiszącej już w powietrzu rewolucji. Do czasów C y r u l i k a i F i g a r a bohaterowie rekrutowali się wyłącznie z klas uprzywilejowanych, lud nie godzien był tego zaszczytu, lud stał przy drzwiach. Syess jednak miał niezadługo powiedzieć, że s t a n t r z e c i był dotąd n i c z e m, będzie zaś w s z y s t k i e m. W komedjach Beaumarchais'go lud ów jest już wszystkiem. Przedstawiciel jego, intelligentny, przebiegły i śmiały Figaro umie wszystko pokierować na swą korzyść, pan zaś jego hrabia Almaviva jest niedołężnym manekinem, który zachowuje już tylko pozory władzy i wpływu. Komedja zresztą przepełniona jest śmiałemi wycieczkami i alluzjami do stosunków ówczesnych, a Don Basilio nauczyciel fortepianu, i sędzia Don Guzman Brid - Oison w niezbyt pochlebnem występują świetle. Wszystko to czyni nam słowa Hettnera nader zrozumiałemi.

A teraz jedna jeszcze uwaga. Słuchając „Wesela Figara" mimowoli nasuwa się porównanie między komedjami Beaumarchais'go, a dzisiejszemi naszemi operetkami z wyraźną barwą satyryczną, z Offenbachem, Lecoqiem... Miejsce nie pozwala nam rozsnuwać bliżej jej analogji, intelligentny czytelnik sam ją sobie uprzytomni.

Pisarze dramatyczni mogą także uczyć się od Beaumarchais'go tajemnicy wpływu na spółczesnych. Trzeba tylko umieć uderzyć w właściwą strunę i ton odpowiedni wynaleźć...

* * *

Z Krakowa piszą do nas: „Wieczór tegoroczny na cześć Adama, śmiało można powiedzieć, wypadł o wiele świetniej, niż lat zeszłych. Najciekawsze było słowo wstępne p. Pawlikowskiego, prezesa Czytelni akademickiej. — Mowa owa, jak na „Słowo" trochę przydługa i rozwlekła — była niejako publicznem w y z n a n i e m w i a r y młodzieży krakowskiej, reprezentowanej przez p. Pawlikowskiego."

„Mowca scharakteryzował jej obecne hasła i dążności... Było to poniekąd odpowiedzią na zeszłoroczną mowę prof. Bobrzyńskiego, w której zaklinał on młodzież, b y „c z c z ą c i u w i e l b i a j ą c A d a m a" nie we wszystkiem szła za jego hasłami. P. Pawlikowski odpowiedział dziś, że młodzież nie może iść bezwzględnie za wszystkiemi hasłami „Ody" — mickiewiczowskiej, — bo od czasu jej stworzenia, świat o c a ł y c h l a t k i l k a d z i e s i ą t postąpił, — że dziś nam raczej „zamiary podług sił", a nie „siły na zamiary" mierzyć wypada, że młodzież rozumie, iż nie powinna dla „marzenia" lub „szału" poświęcać... krytycznego i pozytywnego roz-

sądku — że więc z pozoru — rada słuchać rad podawanych jej przez przewódców, — to... z drugiej strony czyni to z innych pobudek... Młodzież czuje oddźwięk w swych sercach na hasła „wolności i równości“ — powtarza w duszy za poetą: „że jej z daniem wstrząsnąć bryłę świata“ — wie jednak, że naczelną dziś ideą jest „siła“ — w jej moralnem, umysłowem i fizycznem znaczeniu — siła, przez którą dąb burzom i wiekom się opierał, a która nie pozyska się ani wiecznem marzeniem, ani też pustym frazesem „pracy organicznej“

„Po owem programowem wystąpieniu p. Pawl. — usłyszeliśmy przy końcu już wieczoru... widocznie „bezprogramową“ mowę prof. Smolki. Tendencje jej można streścić w tych słowach:

„Tu burzą się i kipią fale szerokiej i głębokiej rzeki, zwanej patrjotyzmem, — tam płyną z zachodu „mętne, wstrętne“ i i ludziom dobrej woli „niechętne“ wody... pozytywizmu, anarchii... rewolucji!!.. Chciałbym Was, młodzi przyjaciele, — przewieść pośrodkiem, ścieżką „rozsądku“ i karjery... — Byście jednak nie wpadli na dno rzeki (gdzie można życie i karjerę postradać) a nie obłocili się w rynsztoku materjalizmu, pozytywizmu etc. w tem cała trudność“...— I dla tego trudno mi się dobrze wygadać“ — dośpiewajcie sobie w duszy...“

„Odbył się tu także drugi uroczysty wieczorek akademicki... nie tyle już publiczny — bo w Czytelni akademickiej, w obec zapchanego szczelnie audytorjum młodzieżą uniwersytecką — i kilkoma gośćmi z miasta. Urzeczywistnienie „życzenia“ prof. Smolki — stanowiła obecność paru księży profesorów wraz z rektorem na czele... Prof. Smolki nie było... Dodać należy, że był to obchód rocznicy listopadowej.. Wśród miłego programu, urozmaiconego muzyką i deklamacją, obok przemówienia p. Pawlikowskiego — mniej więcej tej samej barwy i tendencji, co na wieczorze Mickiewiczowskim, — wyszczególniał się odczyt jednego z medyków, p. Łuszczkiewicza, zarówno świetną formą, jak zdrowem jądrem. Przebiegłszy zwięźle dzieje nasze porozbiorowe — scharakteryzował powstanie 1831 r. los jego i ostateczny upadek — i wykazał właściwe przyczyny, zarówno tego, że powstanie to nie może zwać się „rewolucją“, jak i tego, że powstanie takie, nawet przy innych warunkach pomyślnych, jakie były i jakich nie było, — upaść musiało, bo nie było z niem największej siły narodu, ludu. A lud nie miał zgoła interesu mięszać się do zatargów między swoimi gnębicielami, a gnębicielami swoich gnębicieli...“

„Wypadałoby jeszcze powiedzieć coś... o immatrykulacyjnej mowie ks. Pelczara, drukowanej w stańczy- i antistańczykowskich dziennikach. Swadą swą — tym razem więcej żółcio — niż miodopłynną — dotknął w niej ks. Rektor — wszystkie.. izmy, począwszy od pozytywizmu i indyferentyzmu religijnego, skończywszy na.. materjalizmie i nihilizmie, — i przestrzegając przed nimi młodzież, — w taki sposób umiał przedstawić... te molochy zachodniego barbarzyństwa, czyhające na zgubę ludzkości - - że gdyby mowę tę czytał lub słyszał najskrajniejszy z skrajnych radykałów, — dostrzegłby ze zdziwieniem, — że... są rzeczy na świecie skrajniejsze jeszcze od niego!...“

* * *

Z Paryża piszą do „Przeglądu Tygodniowego:„ Kompanja eksploatująca telefony Edisona, nałożyła areszt na wyrób wszystkich tego rodzaju instrumentów, jako objętych patentem amerykańskiego wynalazcy. P. Ochorowicz umyślił wtedy spożytkować zasadę, którą dawniej był już wykombinował. Zawiera się ona w działaniu magnesu z oddalenia na prochy żelazne, niklowe, lub kobaltowe. Magnes zmienia układ molekularny metalicznego prochu, i reguluje prąd. Zbudowany na podstawie tej mikrofon, służy doskonale do przenoszenia głosu, i bodaj czy nie przewyższa wszystkie dotąd znane telefony pod tym względem, że z wzrastaniem odległości siła głosu słabnie bardzo nieznacznie. Wynalazek został w tych dniach ukończony, i natychmiast znalazł nabywców. Barbier, znany fabrykant elementów elektrycznych, kupił prawo wyrobu na Francję. Bankier Roosweld — na Anglję i Amerykę. Traktują także z p. Ochorowiczem o Niemcy i Austrję. Pomimo, że dziś dopiero (25. sobota) ostatecznie umowa zawartą została, jest już 2000 zamówień ze strony rządu, nie licząc prywatnej możności zbytu. P. B. Abakanowicz znowu, prócz wynalazków w dziedzinie elektryczności, eksploatuje wykrytą przez siebie zasadę cynematyczną, śruby o zmiennem nachyleniu gwintu. Przedstawiał on w roku zeszłym Akademii swój integrometr. W poniedziałek (27), profesor Bertrand przedstawi temuż ciału integrator, mający z wielką korzyścią zastępować wszelkie planimetry. Prócz tego, pan Abakanowicz ma wkrótce wykończyć itegraf, przyrząd do kreślenia krzywej całkowej.

* * *

Sprawa teatralna znowu poczyna się zaciemniać. Jak donosiliśmy, o teatr podał się były dyrektor p. Jan Dobrzański. Obecnie dowiadujemy, się o nowym konkurencie, pewnym dziewięcioupałkowanym Lovelasie. Jakto? Po konkursie? Gdzie indziej, w takich Niemczech, Francji lub Anglji byłoby to nie możliwem, ale cóż w Galicji stać się nie może? My nieodrodni przodków potomkowie, wszystko robimy — po swojemu!

ZAPISKI.

Literatura.

* Lwowska komisja historyczna Akademji umiejętności, uchwaliła na jednem z ostatnich posiedzeń przystąpić z Nowym rokiem do rozpoczęcia druków czwartego tomu „Monumentów“. Tom ten obejmie: Źródła pomorskie i pruskie, dalej żywoty świętych jak: Wojciecha, Jacka, Kingi, Salomei, Jadwigi, pięciu braci Eremitów, źródła klasztorne i kronikę Jana z Komorowa. Oprócz dra. Liskego, dra. Kętrzyńskiego, komisja zaprosiła na członków dra. Anatola Lewickiego i dra Fryderyka Papée, a odjeżdżającemu do Moskwy drowi A. Prochasce, poleciła zwrócić uwagę na źródła, znajdujące się w tamtejszych zbiorach, o ile zasługują na uwagę i uwzględnienie w Monumentach.

* Ostatni numer „Kłosów“ zamieszcza portret utalentowanej poetki Marji Konopnickiej, oraz jej życiorys, kreślony piórem A. Pługa. Jest to pierwszy obszerniejszy artykuł, poświęcony osobie znakomitej poetki, o której dotychczas wiedzieliśmy nie wiele szczegółów.

* Nową powieść Daudeta p. t. „Evangeliste“ zaczął drukować w fejletonie paryski „Figaro.“

* Zasłużony i sympatyczny poznański pisarz ludowy J. Chociszewki, wydał znowu Skarbczyk poezji polskiej dla ludu i młodzieży, i Piśmiennictwo polskie w życiorysach naszych znakomitszych pisarzy dla ludu i młodzieży — w drugiem poprawnem wydaniu. Nie godząc się zawsze z zapatrywaniami autora i doborem niestosownych tematów w opowieściach ludowych — jak n. p. owa bajka „O dwunastu rozbójnikach“ przyznać trzeba, że p. Chociszewski jak umie i może służy gorliwie poczciwej sprawie oświecania ludu.

* Od „Koła polskiego“ z Pragi dochodzi nas pismo następujące:

„Koło polskie“ w Pradze, rozpoczyna 1. stycznia 1883 r. całkowite wydanie prac J. I. Kraszewskiego w czeskim przekładzie, które wychodzić będzie w zeszytach od 3 do 9 arkuszy druku. Wydawnictwo ma się rozpocząć utworami mniejszych rozmiarów od 3 -6, albo od 6—12 arkuszy druku. Adres redakcji: Celestyn Frycz w Pradze, Wodczykowa ulica nr. 28.“

* „Mojmir“ dramat konkursowy Juljusza Turczyńskiego, odznaczony przed kilkoma laty w Krakowie jedyną nagrodą, wyszedł z druku. W dramacie tym

bohater, jeden z książąt nadłabskich, przedstawiony jest w walce z pokrewnymi książętami, kastą kapłańską i ludem — czując brak sił, łączy się on z wrogami Słowiańszczyzny — i na tem polega dramatyczność akcji. Autor „Mojmira“ znany jest z swych prac dawniejszych „Kiejstuta“, „Tragedji życia“ „Rozbioru Dziadów“ i t. d.

* P. W. Boberski znany pracownik w dziedzinie geologji, wydał w Warszawie małą broszurkę p. t. „Powstawanie gór i lądów“. Oparty na najświeższych badaniach naukowych, autor przedstawia zajmującą kwestję w popularny sposób. Język rozprawki czysty i jędrny, a styl dla każdego zrozumiały — zalecają najnowszą pracę p. B. wszystkim, którzy nie obojętni dla tak ważnej umiejętności, jak geolo gia.

* Prześlicznie ilustrowane dzieło popularno-naukowe o ssakach, wydaje Bruckmann w Monachium. Autorem dzieła znany Karol Vogt, ilustratorem równie ceniony w swym zawodzie Fryderyk Specht. Całe dzieło w 25 zeszytach in folio po 1½ ark. w zeszytu ma być ukończone do Wielkiejnocy.

* Z Weimaru donoszą o wielkiem powodzeniu poetycznego dramatu Pawła Heys'go „Alkibardes“.

* W Lipsku nakładem Brockhausa wyszedł obecnie 3 tom objaśnień do Dantego „Boskiej komedji“ p. t. „La divina Commedia di Dante Alighieri Riveduta nel testo e commentata da G. A. Scartazzini“. Autor pracował lat ośm nad ułożeniem tego komentarza, który jest zbiorem a względnie streszczeniem wszelkich objaśnień, jakie dotychczas pojawiły się w języku włoskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Autor dodaje do nich własne uwagi, a obiecuje wydać jeszcze tom czwarty, który będzie zawierać historyczno-literackie prolegomena. Jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju, mimo to, że Scartazzini studiując całą literaturę dotyczącą począwszy od Jacopo Lana aż do Gwalberta de Marzo, przyznaje, że niektóre części „Il paradiso“ są dlań ciemne i wątpliwe.

* Pod tytułem „Slaves et Teutons“ wyjść ma wkrótce dzieła Edwarda Marbeau w Paryżu. Nadesłany nam spis rozdziałów zawiera: 1) Walka nieuchronna między Słowianinem a Teutonem; 2) Ugrupowanie Słowian w Europie; 3) Przyczyny antagonizmu między Słowianami i Teutonami; 4) Punkta zetknięcia między Słowianami i Teutonami. Dalej idzie serja rozdziałów p. n. „Walka w Austrji“. Rozdział XII nosi nazwę: „Niemcy w Galicji“. rozdział XIII: „Język niemiecki w Galicji“; rozdział XIV: „Polacy w Galicji“; rozdział XV: „Stosunek Czechów do Polaków“. Drugi szereg rozdziałów zatytułowany: „Walka w Prusach“, zajmuje się wyłącznie polsko-pruskiemi stosunkami.

Teatr i muzyka.

* Coquelin bawi obecnie wraz z całem towarzystwem swojem w Odessie, zkąd udaje się dalej do Rosji, a po drodze zwidzi także Warszawę. O grze jego powiemy obszerniej w jednym z najbliższych numerów.

* Lecoq'a nowa operetka „Kosicki“ dawana jest ciągle przy miejscach wyprzedanych w Wiedniu.

* W Burgu przedstawiony zostanie wkrótce nowy dramat Wilbrandta „Assinuta Leoni“ Rolę tytułową gra Wolter. W tym samym teatrze odbywają się próby czytane z „Mentora“ Fredry (syna).

* M. Guniewicz, muzyk i kompozytor zmarł w zeszłą sobotę w Poznaniu. Ze znanych jego dzieł zasługuje na uwagę oratorjum, zatytułowane: „Niewola Babilońska“. Guniewicz posiadał talent niezaprzeczony, który gdyby miał czas rozwinąć się w pełni, byłby zajaśniał blaskiem nielada.

* W Manheimie, dnia 27 z. m. wystawiono na scenie tamecznego teatru drugą część „Fausta.“ Przedstawienie trwało od 5-ej godziny po południu do godziny 2-ej po północy. Publiczność przepełniająca teatr, ani na jedną chwilę oznakami niecierpliwości nie ubliżyła czci, należnej nieśmiertelnemu arcydziełu.

Sztuki piękne.

* „Przyjaciel sztuki kościelnej.“ Pod powyższą nazwą zacznie wychodzić od Nowego roku 1883 w Krakowie nowe pismo ilustrowane zeszytami, sześć razy na rok. Wydawnictwem tem zajmuje się towarzystwo Ś-go Łukasza.

* P. Stanisław Rostworowski, autor rysunku konkursowego do Balladyny, nagrodzonego przez krak. „Koło artystyczne literackie“, otrzymał w Petersburgu patent ukończenia Akademji, oraz medal srebrny Iszej klasy. Takiż sam medal otrzymał jeszcze z polaków-malarzy p. Malinowski.

* Na wydziale architektury Akademji petersburskiej z pomiędzy Polaków medale srebrne Iszej klasy otrzymali: Mikołaj Tołwiński, Piotr Brukalski, Roman Kowalski i Eugenisz Brzozowski.

* Z Monachium donoszą, iż Defreger kończy obraz, odnoszący się również, jak dwa poprzednie, do walk z r. 1806. Tłum włościan kuje w skalnej pieczarze broń, iskry ulatują w powietrze i oświetlają scenę w głębi. Z przodu stoi barczysty chłop, który pracuje pilnie przy kowadle, grupę średnią zaś i główną tworzy kilkunastu wieśniaków, z ciekawością i przerażeniem słuchających wieści niewesołych widocznie, które opowiada chłopak stojący w środku o przebiegu boju. Wszystkie twarze ożywione są nadzwyczaj silnym wyrazem uczuć, głównym charakterem sceny jest zapał, gotowość do walki i poświęcenia ostatniej kropli krwi w obronie swoich. Znawcy stawiają obraz ten obok najlepszych kompozycyj artysty. Niedługo będzie on ukończony, a w przyszłym roku pojawi się z pewnością na międzynarodowej wystawie sztuki w Monachium.

* Nakładem Neffa w Stutgardzie, wyszły niewiemy już w którem wydaniu wspaniałe kompozycje genialnego M. Schwinda „Melusine“ i „Sieben Raben“.

* Wiedeńskie towarzystwo „für vervielfältigende Künste“ wydało obecnie pierwszy zeszyt wspaniałego wydawnictwa „Palastbauten des Barockstyls in Wien“, które przy pomocy ministerstwa oświaty wydaje arhitekta G. Niemann. Dzieło to obliczone jest na 8 zeszytów (40 tablic); tablice zawierają miedzioryty w formacie 48·62 cntm. Pierwszy zeszyt zawiera pałac ks. Schwarzenberga w 5 tablicach. W następnych zeszytach będą odwzorowane pałace ks. Kinskyego i Liechtensteina a dalej Burg cesarski, biblioteka nadworna, Belweder, gmach ministerstwa finansów itp. Cena zeszytu 6 zł.

* Rada zawiadowcza austr. „Kunstverein“ utworzyła sekcję dla sztuki religijnej, która naznaczyła 2 osobne nagrody dla dzieł treści religijnej. Nagród 10 za rok 1882 przyznano: 1. premię cesarską wiejskiemu obrazowi Wilh. Richtera w Wiedniu: „Łowy dworskie na Węgrzech“; 2 i 3. premię ks. Koburgskiego pejzażom „Noc księżycowa“ A. Riegera w Wiedniu i „W jesieni“ H. Lipińskiego w Krakowie; 4 i 5 nagrody biskupie obrazom „Anioł stróż“ H. Nigga i „Dobry pasterz“ Ludwiki Cadecasa w Wiedniu; 6. premię ks. Schwarzenberga, obrazowi M. Lenza „Neron nad zwłokami Agrypiny“; resztę nagród p. Kohlschütterowi w Dreznie Gustawowi Ranzoni, I. Hayerowi i Haunoldowi.

* U Weigla w Lipsku wyszło w nowem wydaniu ozdobne dzieło dr. Fr. Rebera „Die Ruinen Roms“, w którem znajdzie każdy, chcący się zapoznać ze starożytnym Rzymem, mnóstwo szczegółów interesujących, ożywionych ilustracjami.

* W Kunstvereinie wiedeńskim zwracał na siebie szczególną uwagę znany z wystawy krakowskiej piękny obraz S. Buchbindera „Zygmunt III w pracowni złotniczej“; krytyka chwaliła szczególnie świetny koloryt obrazu, i oddawała należne uznanie charakterystyce postaci króla.

* Nakładem Duwinage'a w Berlinie wyszedł znakomity sztych N. Bartelmessa, z obrazu C. E. Böttichera, który pod tytułem „Wieczór nad Renem“ przedstawia zabawną chwilę z życia kółka artystów niemieckich. Na obrazie przedstawiającym scenę hulaszczą, odrysowane są figury kilku znakomitych malarzy a mianowicie prócz samego Böttichera, portrety K. F. Lessinga, Karola Hübnera, Augusta Webera, Adolfa Scela, Karola Hertla, Ernesta Boscha i rytownika Fr. Vogla.

Archeolo gja.

* Muzeum Frauenberskie otrzymało kolekcją przedmiotów bronzowych, wykopanych z r. w dobrach Schwarzenberga; bronzy te mają według obliczeń prof. Smolika w Pradze, przeszło 2000 lat, a jest pomiędzy nimi 16 pierścieni o 214 mm. średnicy, niektóre z ornamentami w liniach, 542 pierścieni mniejszych gładkich, 3 sierpy, 2 wędzidła końskie, dzwonek o 63 mm. średnicy, czara z nakrywą, ozdobiona u dołu ornamentyką linij. Kolekcja ta będzie wystawiona przedewszystkiem w pałacu ks Swarzenberga w Wiedniu a prof. dr. Woldrich będzie mieć wykład o tych wykopaliskach.

MISCELANEA.

—Udoskonalenie lamp elektrycznych spowodowało nietylko specjalistów, ale nawet i całe gminy większych miast do wypróbowania praktyczności tego

nowego rodzaju oświetlenia, do którego wprowadzenia jeden tylko powód stał na zawadzie, t. j. wzgląd na stosunkowo wysoką cenę światła elektrycznego. Aż do tego czasu jednakże nie przedsięwzięto prób na większą skalę, i dopiero w przeszłym miesiącu zdołano kwestję wyjaśnić w Berlinie, zaprowadziwszy oświetlenie elektryczne na placu Potsdamskim, i na jednej części ulicy Lipskiej od pl. Potsdamskiego do ulicy Fryderykowskiej.

Dla porównania siły i kosztów światła elektrycznego, oświetlono dalszą część ulicy Lipskiej t. j. od ulicy Fryderykowskiej do ulicy Kommendanten-Strasse, lampami gazowemi, (tak zwane regeneratory systemu Siemensa), podczas gdy prostopadłe ulicę Lipską przerzynającą Fryderykowską, oświetlono z jednej strony światłem gazowem systemu Bray'a, z drugiej zaś strony ulicy oświetleniem gazowem systemu Laccarriere'a.

Tak więc na skrzyżowaniu dwóch ulic, z wyjątkiem ulicy pod Lipami, najznaczniejszych Berlina, t. j. ulicy Lipskiej i Fryderykowskiej, w czterech kierunkach cztery systemy oświetlenia się znajdują.

Lampy Siemensa są to lampy o wieńcu płomyków naokoło płytki ustawionych, która to płytka rozgrzana powoduje subtelniejsze zużytkowanie węglika, rozdzielonego w małych płomieniach gazu, co wywołuje większy efekt światła.

Dwa ostatnie systemy, Bray'a i Laccariere'a, są tylko skombinowaniem zwyczajnych płomieni gazowych.

Chcąc czytelnikom naszym przedstawić przestrzeń w Berlinie światłem elektrycznem oświetloną, powiemy: Powierzchnia placów wynosi 70 arów (585 kwadratowych prętów), a długość wymienionych części ulic wynosi 880 m. (412½ sążni), przestrzeń natomiast ulicy 110 arów (920 kwadr. prętów). Przy tych rozmiarach plac oświetlony jest 13tu lampami systemu Siemensa, powierzchnia ulicy 23 lampami, każda o sile światła 400 świec normalnych (13 na 1 kg). Lampy te zastępują 105 latarń, konsumujących 0195 m. sz. na godzinę o sile gazu 17 świec.

Podług kontraktu z firmą Siemens et Halske, oświetlenie elektryczne od zmroku aż do północy kosztować będzie w przeciągu roku t. j. 1900 godzin 26,040 marek czyli 13,70 marek za godzinę.

Przy ścisłem obliczeniu wypada oświetlenie jednego aru (mniej więcej 8⅓ prętu kwadratowego) na godzinę 7,61 pf., podczas gdy światło gazowe (przy dotychczasowej cenie, 13⅓ pf. za metr kub., 3 m za 1000 stóp sześć) kosztuje przy oświetleniu tej samej przestrzeni 1,52 pf. Światło elektryczne jest więc przy wymienionych cenach w Berlinie 5 razy droższe od gazowego.

Obliczywszy jednakże siłę światła elektrycznego, których 39 płomieni przedstawiają siłę światła podług wymienionych danych 36 pomn. na 500 =18000 świec normalnych, podczas gdy w porównanie wzięte 205 płomieni gazowych posiada siłę światła tylko 105 pomn. na 12=1786 rot 1800 świec reprezentują, przekonywamy się, że pięć razy droższe światło elektryczne 10 razy silniej oświetla aniżeli światło gazowe, czyli, że jeżeli chcemy równie silnie przestrzeń jaką oświetlić, światło elektryczne jest o połowę tańsze od światła gazowego przy użyciu zwyczajnem jednopłomiennych latarni.

Jest to wynik na poważnych cyfrach oparty i nie ulegający żadnej wątpliwości.

Lampy tak zwane regeneratory Siemensa, oświetlają 600 m. (280 sążni), długą część Lipskiej ulicy. Na tej przestrzeni ustawionych jest 54 regeneratorów, które pochłaniają na godzinę i płomień 0,75 kub. metr. (31⅓ st. sz.), przy sile światła 130 — 160 świec normalnych. Po północy świecą te same lampy, zużywając na godzinę tylko 0,4 kub. m. (16¾ st. sz.).

Ponieważ oświetlona powierzchnia zajmuje 75 arów (627 pr. kw.), wypadają koszta oświetlenia jednego aru na godzinę przed północą 7,20 pf., a po północy 3,84 pf.

Porównawszy z światłem elektrycznem przychodzimy do przekonania, że do oświetlenia 880 m. długiej przestrzeni 23 lampami, potrzebaby było przy tych samych kosztach oświetlenia 79 lamp Siemensa, któreby razem dawały siłę światła — przeciętnie biorąc 79 pomn. na 145=11,455 świecce st. pórownane z siłą 22 lamp elektrycznych dających siłę światła 23 pomn. na 500=11,500 świec, przedstawia równą siłę światła przy równym prawie koszcie 7,61 względem 7,20 pf. Ostatnie liczby pokazują, że światłem gazowem możemy przestrzeń równie silnie oświetlić przy tym samym, a może cokolwiek mniejszym koszcie, jeżeli użyjemy regeneratorów Siemensa.

Naturalnie zależne jest to od ceny i dobroci gazu.

Podnieść tu tylko musimy wpływ systemu lampy na siłę światła. Regeneratory Siemensa, spotrzebowując 750 lamp gazu, dają siłę światła równającą się mniej więcej 130 świecom, czyli że siłę światła jednej świecy dostarcza 5 litrów, podczas gdy zwyczajny płomień o sile 17 świec potrzebuje 1951, czyli siłę światła jednej świecy wywołuje dopiero 11,5 l. innemi słowy w regeneratorach Siemensa gaz przeszło dwa razy więcej światła daje, niż zwyczajne płomienie latarni.

Próby z dwoma wymienionemi systemami lamp Braya i Lacarriera, wykazały, że w żadnym stosunku ceny oświetlenia zwyczajnym płomieniem gazowym nie zmieniają, i że przy równej sile światła są od oświetlenia elektrycznego dwa razy droższe, że zaś równać się nie mogą z regeneratorami Siemensa.

Chociaż porównania zrobione są tylko z jednym rodzajem lamp elektrycznych, uważać jednakże można próby berlińskie za rozpoczęcie walki między światłem elektrycznem a gazowem.

Znaną jest rzeczą, że pająki posiadają słuch wykształcony w nader wysokim stopniu, a doświadczenia Boysa wykazały ten fakt nader dosadnie. Od tego czasu jednak czyniono w tym kierunku doświadczenia z innymi owadami, a Graber doszedł do dość zdumiewających rezultatów. Według niego najbardziej delikatny słuch posiada karaluch (Blatta germanica.) Jeżeli wypuścimy na wolność schwytanego karalucha i pociągniemy po strunach skrzypiec, wstrzymuje się on nagle i słucha dźwięku czas dłuższy. Przy drugiem doświadczeniu włożył Graber kilka sztuk do słoja szklannego, i pociągnął nad niemi smyczkiem po skrzypcach. Owady zaczęły latać jak szalone, a te, które się już wydostały na górę, pospadały na dno. Przy doświadczeniu trzeciem naturalista oślepił karalucha i przywiązał go za nogę na nici. Owad długi czas wisiał nieruchomy, ale rzucać się począł gwałtownie, gdy w odległości metra od nici poruszono smyczkiem po strunie, a po chwili wisiał głową na dół. Drugie pociągnięcie smyczka wywołało tylko lekkie drganie, ale po kilku godzinach okazywał karaluch takąż samą czułość na dźwięki. jak przedtem. Kilka gatunków chrząszczy i much okazywały również drażliwość na muzykę, u mrówek i u pędraka (kryzalida chrabąszcza majowego) niezauważył naturalista najmniejszej drażliwości na dźwięki.

Z owadów, żyjących w wodzie czynił Graber w akwarjach doświadczenia na pająku wodnym (coriza). Mają one zwyczaj kilka minut utrzymywać się spokojnie na powierzchni wody leżąc na grzbiecie i oddechając. W razie podrażnienia jednym susem nóg wiosłowatych umykają w głąb wody. Jeżeli uderzono więc delikatnie rurką szklanną o brzeg akwarjum, pająki w jednej chwili biegały po wodzie jak szalone. Chcąc się przekonać, czy powodem tego zamięszania nie jest równoczesne poruszenie wody, badacz okrążał długim pręcikiem leżące spokojnie na powierzchni pająki, ale to wszystko ich nie zaniepokojało; okropne wrażenie zaś czynił na nich dźwięk dzwonka, sprowadzony za pomocą takiego samego pręcika; wszystkie w jednej chwili poczynały uciekać, co powtarzało się również po wydobyciu najwyższych tonów ze strun wiolinowych, począwszy od trzykrotnie przekreślonego *d*. Niemniej wielkie wrażenie robiło staccato, lub silne pizzicato, a uderzenie młotkiem w szybę szklanną po nad akwarjum, doprowadzało stworzeńka do rozpaczy. Badanie innych owadów wodnych było połączone z trudnościami. Więk-za ich część schowana w mule lub pod liściem roślin wodnych, rzadko kiedy ukazuje się na powierzchni, chociaż badania dowiodły, że niektóre gatunki wodnych chrząszczów (Laccophilus, Laccobius) czułe są także na dźwięki. Inne przeciwnie zdają się nie posiadać wcale organu słuchu.

Treść:

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

JAN QUEST

Rynek liczba 24.

poleca

swój główny skład

PORCELANY SZKŁA

i

NACZYNIA KAMIENNEGO

Zamówienia z prowincyi uskutecznia odwrotną pocztą.

Perfumerye.

Rękawiczki.

Magazyn nowości i drobiazgowy

W. BYSTRZONOWSKIEGO

Lwów ul Halicka l. 18.

poleca świeży transport najtaniej

Chustki włóczkowe

po 1. 1.50. 2. 2.50. 3. 3 50. 4. 5. 6. zł.

Sznurówki francuzkie

ceny zniżone

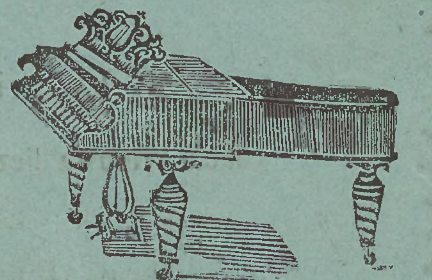
1.20 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50, 4. 5. 6. 8. 10 zł.

Łaskawe zamówienia załatwiają się odwrotną pocztą.

Krawaty.

wszelkie przybory do szycia i haftu.

Gwarancia lat 10.



Gwarancia lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

we Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za niezrównane środki

mianowicie:

ANTILENTTILIA

usuwa **piegi, opalenia słoneczne, plamy wątrobiane,** nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 2 złr.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa,** niszczy **wągry,** t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie nikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą.

Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor. — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571 2-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

we Lwowie, ulica Kopernika l. 3, w Krakowie, Sukiennice l. 20.